Rok I. Kraków, dnia 1. maja, 1903. Nr. 5.

PRZYSZŁOŚĆ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY

WYCHODZI 1. I 15. KAŻDEGO MIESIĄCA

WARUNKI PRZEDPŁATY: Dla miejscowych miesięcznie 80 hal., dla zamiejscowych 1 kor. Numer pojedynczy 40 hal. Prenumeratę można także składać rocznie, półrocznie i kwartalnie. Rękopisów nie zwraca się.

Adres Redakcyi i Administracyi: KRAKÓW, WIELOPOLE 5. Komitet red. urzęduje codziennie od 11–12 i od 5–6 z wyjątkiem sobót. W niedzielę od 10–12.

Rozwijać program polityczny pisma niepolitycznego — rzecz to na pozór nielogiczna; niektórzy nawet zajmowanie się kwestyami społecznemi, jeżeli się chce ominąć teren czynnej polityki, uważają za absurd, a przecież ośmielę się dalszymi wywodami przekonać, że tak nie jest. Zastrzegamy się, jakobyśmy chcieli z kimś polemizować, bo naszem staraniem będzie czynem, a nie frazesami przekonywać przeciwników. Jeżeli nasze młode siły wystarczą, to dobrze, jeżeli zaś nie, to nagrodą za nasze trudy będzie nam zadowolenie wewnętrzne, że czas nasz nie marnowaliśmy na orgie i inne nieużyteczne zabawy, ale żeśmy go chcieli poświęcić dobrej sprawie. Pozwoliłbym sobie zupełnie ogólnie zauważyć, że chcieć zgnieść mozolną pracę ludzi do niej się rwących, już w samym zawiązku, nie dając się jej rozwinąć — nie podejrzywam o żadne uboczne cele — jest mojem zdaniem co najmniej niewłaściwem.

Pismo nasze stać będzie — co zresztą uważamy za rzecz naturalną — na gruncie czysto narodowym, będzie zatem popierało wszelkie dążenia celom narodowym służące, bez względu na obóz, z którego one wyjdą. Również poczuwając się do pewnej wspólności ideowej z ludem, wspólności opartej przedewszystkiem na dziewiczości uczuć politycznych, nieskalanych jeszcze żadnymi brudami — i widząc w nim, i to w nim jedynie, możliwość podniesienia naszej biednej Ojczyzny z upadku politycznego i moralnego, popierać będziemy wszystkie stronnictwa z nim się łączące. Nie będąc, jak to już wyżej zaznaczaliśmy, pismem politycznem, nie możemy się łączyć z żadną partyą, oświadczamy tylko, że nigdy małostkowe lub partyjne względy, ani karyerowiczowstwo wpływu na nasze zapatrywania mieć nie będą, że potępiać będziemy z całą stanowczością wszystko, co z wyż podanym programem zgadzać się nie będzie, że staraniem naszem będzie połączenie wszystkich poważniejszych stronnictw dla pracy produktywnej, dla dobra młodzieży i Ojczyzny — oto jedyny cel naszej działalności.

Działamy w pełnej świadomości wielkiego zadania, jakieśmy sobie wytknęli i w tem naszem dążeniu nie powstrzyma nas nic, ale wiemy zarazem, że czeka nas wielka praca i odpowiedzialność, którą z lekkiem sumieniem przyjmujemy. A teraz zwracam się do wszystkich, których serca ożywiają te same ideały z ponownym apelem w imię dobrej sprawy o łaskawe wspieranie nas.

Już w poprzednich numerach wskazaliśmy na ubolewania godną nieznajomość wśród młodzieży akademickiej kwestyi społecznych, która powoduje, że o ile młodzież ta występuje na arenie politycznej, to niema wyrobionego własnego zdania, ale przysięga na ślepo *in verba magistri*, rzecz tem smutniejsza, że wybór tych przywódców także nie opiera się na przekonaniu, lecz jest wypływem owczego popędu. Większa lub mniejsza elokwencya niektórych jednostek, bo treść ich przemówień jest dla ogółu obojętną, porywa chwilowo te tłumy młodzieńcze, których dowodem dojrzałości umysłowej jest li tylko świadectwo maturyczne. Rzecz naturalna, że jeżeli młodzież z tak niedostatecznem wykształceniem politycznem chce brać czynny udział w temże życiu, to nie tylko, że osłabia zaufanie innych klas do siebie, ale powoduje także często fiaska polityczne stronnictw, jej ulegających. Zachęcić zatem do zajmowania się kwestyami społecznemi i teoryą polityki, rzeczy niezbędnych do produktywnej pracy na tem polu, a nie odstręczanie od polityki, uświadomienie polityczne tych, którzy mają działać w celu uświadomienia ludu i nim w przyszłości kierować, oto jeden z celów jakieśmy sobie wytknęli. Chcąc zatem ująć postęp konsekwentnie, musimy się starać zapoznać naszych czytelników z wszystkimi prądami, nurtującymi w naszem społeczeństwie. A więc objektywizm polityczny, a nie omijanie drażliwych częstokroć kwestyi politycznych będzie nami kierował i zmusi nas do ściśle naukowego traktowania tych kwestyi, aby uniknąć zarzutu, że zdanie nasze chcemy komuś narzucić lub nową utworzyć partyę.

Znajomość stosunków, sumienna praca i staranność będą naszymi pomocnikami w tej działalności, nie wątpimy też, że z czasem młodzież ją uzna i pomoże nam do ożywienia życia umysłowego, które dziś słabe tylko daje oznaki.

Nie żądamy pochwał, jedyną nagrodą za naszą pracę będzie nam przekonanie, że myśli przez nas rzucone natrafią na żyzny grunt i wydadzą plon obfity.

Oeconomicus.

Socyalizm, a sprawa polska.

Pierwsza połowa XIX. wieku była widownią ciągłych rewolucyi i gwałtownych przewrotów społeczno-politycznych. Wszystkie te nowe siły, które wiekami rosły w łonie społeczeństw europejskich, znalazły swe ujście.... Wychowani w takiej atmosferze pierwsi szermierze „Manifestu komunistycznego" (1847) łatwo ulegli złudzeniu, że nowe hasła, przez nich rzucone, doprowadzą w czasie bardzo prędkim do obalenia ustroju kapitalistycznego, a tem samem do wyzwolenia narodów ujarzmionych. „Przez socyalizm do niepodległości!" — oto hasło, które było konsekwencyą podobnego nastroju. Tymczasem już rok 48-my przyprawił o wielki zawód Marksa, Liebknechta i innych przodowników nowego ruchu. Przekonali się oni, że zbyt optymistycznie zapatrywali się przedtem na szybkość rozwoju społecznego, nie przestali jednak łudzić się nadzieją, że w każdym razie chwila zwycięstwa proletaryatu jest niezbyt odległą.

Minęły lat dziesiątki, ruch socyalistyczny spotężniał, a jednak dzisiejsze pokolenie, tak samo jak i poprzednie, nie widzi na horyzoncie swego życia dnia, który przyniesie zwycięstwo. O ile szeregi partyi rosną z bajeczną nieraz szybkością, o ile ta partya zyskuje coraz rozleglejsze prawo głosu — od parlamentów zacząwszy a na radach gminnych kończąc — o tyle widzi przed sobą coraz nowe i nowe przeszkody, o tyle sam rozpęd partyi zwalnia się.

Nawet ta liczebność stronnictwa staje się jego Achillesową piętą. Ogromna bowiem większość jego członków, to tylko zwolennicy, bynajmniej nie wyznawcy. Nie tyle ich nęcą dalekie ideały socyalistyczne, ile obchodzi program realny, tak zwany program minimum. Zamiast gromadzić siły ku urzeczywistnieniu zasadniczych haseł, wolą tłumy wyborców drobne ulgi i zdobycze natychmiast. Polityka kierowników partyi, niewolniczo zależna nie od skrajnej falangi, a od tej masy, która przy wyborach najwięcej swemi kreskami mandaty daje, musi przez to samo stosować się do usposobienia swej większości i rezygnować krok za krokiem z dawnego rewolucyonizmu. Dopuszczeni przez burżuazyę do drobnego udziału w bezpośredniem sterowaniu losami państw, powiatów i gmin, zagrzebują się oni coraz więcej w sprawach drobiazgowych, kwestyach dnia. Zyskując przez to uznanie u sfer demokratycznych, z któremi nieraz współdziałają, sami nabierają cech polityków drobnomieszczańskich. Czapkę frygijską chowają

wstydliwie do rekwizytów, piętnują zato publicznie każdy pojedynczy czyn zły tego lub owego księdza, chociażby ten nawet zdarzył się na drugiej półkuli. Nawet zasadnicze hasło swoje „uspołecznienia środków produkcyi“ redukują wobec kmiotków do — zakładania spółek mleczarskich. Wychodząc z doktrynerskiego poglądu, że ciała reprezentacyjne są pierwszą, bodaj jedyną, a w każdym razie konieczną drogą do urzeczywistnienia przewrotu, partye socyalistyczne cenią na wagę złota każdy mandat zdobyty. Przyczynia się to do usunięcia w cień agitacyi teoretycznej i do przeniesienia punktu ciężkości myśli politycznej na sprawy lokalne. Blednie powoli całokształt ideałów, niektóre z nich są wspominane tylko w chwilach odświętnych, a za to takie Luksemburżanki swobodnie grasują w partyach, bo są „potrzebne“. Idealizm znika, panoszy się natomiast w nastroju socyalistycznych partyi Europy utylitaryzm. Dążenia wzniosłe, uczuciem sprawiedliwości powszechnej natchnione, stają się dla partyi ciężkim balastem, o ile nie są u postępowej burżuazyi dobrze widziane. Obrona „Nagich dusz“ przed prawem kagańcowem w Berlinie na zle partyi nie wyszła, owszem zjednała jej sporo nowych wielbicieli i głosów wyborczych, a to jest najważniejsze! Ale taka n. p. kwestya „Niepodległości polskiej“ — jakie warstwy może ona zjednać? — to też należy ona do programu jako hasło zamarłe. Nie wiem, czy znajdzie się taki optymista, któryby wierzył, że entuzyazm dla Polski, przekazany przez Marksa, Engelsa, Liebknechta, żywiony jeszcze przez sędziwego Bebla, cechuje dzisiejsze partye socyalistyczne w stopniu równie wysokim. Nawet samo zrozumienie sprawy polskiej i jej bezinteresowna ocena stają się obcemi większości kierowników partyi, równolegle z tem, jak zanikają w warstwach mieszczańskich, gdzie je zastępuje hakatyzm i aljans franko-ruski. Wystarczy wspomnieć tu nastrój, jaki wywołało na zjeździe powszechnym partyi soc.-dem. niemieckiej w Monachium oskarżenie socyalistów polskich o irredentyzm. Gdyby nie głos starego pokolenia, które przemówiło ustami Bebla, gdyby nie szacunek mimowolny do testamentarnie przekazanych przez Marksa haseł, kto wie, czy nie zmierzyłby zjazd ideałów wolnościowych polskich łokciem interesów i interesików doby bieżącej! — Systematyczne zmniejszanie się radykalizmu i kierowanie oportunizmem („possibiliści“) wywołują nieunikniony dysonans ideałów zgasłego pokolenia teoretyków socyalizmu, a dzisiejszych czynów partyi. Nie będziemy jednak rozwodzili się tu nad tak modną w literaturze socyalistycznej kwestyą ewolucyi i rewolucyi, pominiemy milcze-

niem nowe agrarne systemata, postaramy się tylko na podstawie tego, cośmy powiedzieli, wykryć stosunek, jaki zachodzi bezpośrednio między socyalizmem a sprawą polską, jako dążeniem państwowem.

Wówczas, gdy Marks i Engels oczekiwali rychłego ucieleśnienia socyalizmu, mogli oni i polscy ich wyznawcy głosić hasło: „Przez socyalizm do niepodległości!“ Dziś jednak, gdy partya socyalistyczna w całej Europie rozkłada na coraz drobniejsze raty i większe okresy urzeczywistnienie swych dążeń, a równocześnie sprawę polską traktuje coraz obojętniej, wolno nam Polakom zastanowić się nad tem, do której z tych rat i w jakiem stuleciu raczy stronnictwo socyalistyczne włączyć realizacyę wskrzeszenia Polski. Jest to kwestya tak wielka, że w drodze ewolucyi powszedniej odbyć się nie da, w ramy dzisiejszej taktyki politycznej nie wtłoczy ją duch Milleranda ani Vandervelda, zostaje więc jedynie przypuszczenie, że hasło „Niepodległości narodów ujarzmionych“, o ile nie jest czysto platonicznem, lub obłudnem, zamienić się ma w czyn gdzieś na zakończenie całości dążeń socyalistycznych. A że to finale w oczach przodowników ruchu usuwa się w coraz więcej odległą przyszłość, mówiliśmy o tem poprzednio. To też cała kwestya sprowadza się do jednego pytania: Czy naród Polski zechce i będzie mógł czekać w nieskończoność?

Tu muszę zaznaczyć różnicę, jaka zachodzi między ideałami narodowymi a społecznymi. Te ostatnie są konsekwencyą niemal matematyczną rozwoju stosunków ekonomicznych; są one rzeczą nieuniknioną (o ile są w założeniu swym prawdziwe). Tymczasem kultury narodowe, same nawet narody ginąć mogą, a ich dorobek duchowy biorą w spadku inni szczęśliwsi. Nie wolno przechwalać się, że bieg czasu i ciężkie warunki nie wycieńczą wreszcie narodu zupełnie! Nie wolno nam cieszyć się wyłącznie z tego, że naród Polski, chociaż przygnieciony, rozwija się i potężnieje, a zapominać, że równocześnie wzrastają zasoby naszych ciemięzców, że jarzmo nasze z każdym dniem staje się coraz trudniejszem do zrzucenia. Kwestya wyzwolenia państwa polskiego staje się tem samem zależną przedewszystkiem od bilansu czynników pomyślnych i szkodliwych. Nie będziemy w prawie odłożyć chwili decydującej dowolnie w przyszłość, gdy ona nadejdzie. Dziś nie da się przewidzieć tego momentu, zależy on od wielu warunków. Faktem jest tylko pewnym, że istnienie kultury pewnej wymaga z każdym dniem coraz więcej opieki i organizacyi od s w e g o państwa. Tytaniczne wysiłki jednostek i grup nie podołają stwo

rzyć dziś takich podstawowych warunków kultury, jak Brytyjskie Muzeum w Londynie, jak obserwatoryum w Pułkowie, lub stacya zoologiczna w Neapolu. Uczeni nasi zmuszeni będą tułać się po obcych ogniskach nauki, im służąc i nie mogąc przyczynić się należycie do wytworzenia jednolitej kultury polskiej. Podwórko galicyjskie, najwięcej nawet wyodrębnione, nie podoła temu, by zaspokoić potrzeby dwudziestomilionowego narodu. A potrzeb tych coraz więcej, rozwój cywilizacyi ogólnej wymaga coraz więcej skomplikowanych i przez państwo tylko urządzić się dających instytucyi. To też z góry możemy spodziewać się, że przy zbyt długiej niewoli państwowo-politycznej kultura polska będzie z dniem każdym wyprzedzaną przez inne, będzie spychaną na dalszy plan, zacznie tracić swoją żywotność i zmuszoną zostanie zlać się z sąsiedniemi.

Cóż wobec tego mamy powiedzieć o haśle „Przez socyalizm do niepodległości!" chyba to, że jest ono dziś absolutnie przestarzałem, że jest utopią, która tem więcej szkodzić i zamętu do pojęć wprowadzać może, im jest szczerszą.

Partya polska socyalistyczna, jeżeli rzeczywiście chce być patryotyczną, powinna wreszcie wyrzucić z programu ów sprzeczny z życiem frazes „dążenie do Polski socyalistycznej", a zadowolić się hasłem: Polski, jako Polski, zostawiając obrachunki partyjne na boku.

Stanisław Magnuszewski.

ZOFIA WÓJCICKA.

„O IBSENIE".

(ODCZYT W UNIWERSYTECIE LUDOWYM IM. ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.)

(Dokończenie.)

Prawa dziecka! – Oto czego się domaga Ibsen w dramacie swoim „Mały Eyolf". Mały Eyolf — ta istotka drobna, wątła, chorowita, kulawa — ta istotka tak zaważyła na szali życia rodziców, że gdy je śmierć zabrala, czują, że nie mogą już być nigdy nadal takimi, jakimi byli przedtem. Ono umarło przez nich — przez rodziców – przez egoizm i szał ich miłości, która kazała im myśleć o sobie tylko, a zapomnieć o dziecku. Wszystko mści się. Dziecko, zbyt mało kochane, czuło się niepotrzebnem wśród nich i odeszło, a oni zostali z okropnym, nigdy nie ukojonym wyrzutem sumienia. Jedynie w zupełnem wyrzeczeniu się siebie i w czynieniu drugim dobrze mogą znaleźć już nie szczęście — bo to już dla nich niemożliwe — ale trochę bodaj spokoju na resztę życia.

Przepiękny za to akord macierzyńskich uczuć daje nam w „Upiorach“ pani Alving — a także Gunilda Borkmann i Ella Rentheim w „Borkmannie“ — w „Brandzie“ Agnieszka, — w „Peer-Gyncie“ Aase.

Są to wszystko postacie granitowe, a miłością swą bezgraniczną i ofiarną — promienne.

Poetę zajmującego się tak żywo wszystkiemi stronami dusz ludzkich, interesował jednak najsilniej problemat siły woli: wszystkie postacie, które stworzył, czy to męskie czy kobiece, są albo olbrzymami woli, dokonywującymi dzieł niezwykłych, lub łamiących się wśród drogi o inne jakieś, silniejsze zapory z zewnątrz — albo też są niewolnikami własnej słabości, indywiduami tchórzliwemi i bezsilnemi, nie mającemi nigdy odwagi na wzniesienie się na wysokość samych siebie.

Takim człowiekiem, który zeszedł już z wysokości duszy własnej i nigdy już poprzedniej wielkości dosięgnąć nie może — jest „Budowniczy Solness“. Choruje on na przeczulenie sumienia — jest złym bez odwagi, a okrutnym bez wielkości. „Jeżeli czynisz źle — miej przynajmniej odwagę złego — jeżeli zaś czynisz dobrze — wiedz, dlaczego to czynisz — miej odwagę być sobą, a będziesz zawsze stał na wysokości samego siebie“ — mówi Ibsen — niezrównanem tem, wspaniałem, pełnem niezmierzonych głębi i niedościgłych perspektyw, symbolicznem dziełem.

Wogóle problemat odpowiedzialności i czułości lub nadczułości sumienia obchodzi Ibsena bardzo żywo. Obchodzi go do tego stopnia, że to jest aż typowem dla niego, charakteryzującem go. Ibsen jest wykwitem epoki i nie mógłby tak myśleć, jak myśli, ani tak pisać jak pisze, gdyby był się urodził we Włoszech w epoce n. p. Odrodzenia. Ale on się urodził w dziewiętnastym wieku, w północnym, zimnym i smutnym kraju — w kraju ponurej poezyi i mglistego mistycyzmu. Nic też dziwnego, że umysł jego taki sam — poważny a głęboki, ciężki i zabarwiony melancholią, skłonny mimo swej ścisłości do wiary w rzeczy nadprzyrodzone.

Takimi są wszyscy ludzie północy — takim jest i Ibsen. Mimo, iż w „Peer-Gyncie“ tak bezwzględnie potępił wszystkie marzycielstwa i rozbujałą fantazyę, sam jest skłonny do wierzenia, że dziwne oczy Nieznajomego miały wpływ jakiś tajemniczy na Ellidę Wangel („Oblubienica morza“), że „Tępicielka szczurów“ pociągnęła za sobą Małego Eyolfa w głębiny morskie i że w „Rosmersholmie“ ukazują się białe konie. Ten pierwiastek mistyczny dodaje dziwnego czaru wszystkim jego utworom, nadając niektó-

rym z nich, o wybitnie symbolicznem zabarwieniu, n. p. „Oblubienica morza“, „Budowniczy Solness“, „Dzika kaczka“, „Rosmersholm“ taki przedziwny, taki poetyczny urok, że długo jeszcze po przeczytaniu każdego z tych utworów pozostaje w nas to wrażenie i bierze sobie dusze nasze na własność. Tak pisze nie tylko poeta, tak pisze umysł wierzący głęboko w to „nieznane“ i tajemnicze, co nas otacza.

Z wiary zaś jego dawnej, z dziecinnej, prostej wiary, jakiej go uczono, pozostał mu ten osobny, chrześcijański sposób patrzenia na ludzi i rzeczy. To poczucie winy i kary, przyczyny i koniecznego następstwa, odpowiedzialności i sumienia. Wierzenia religijne są też dla niego, jak dla każdego człowieka północy, rzeczą niezmiernie ważną. Wprawdzie „Brand“, „Rosmersholm“, „Wróg ludu“, „W dniu zmartwychwstania“ i wszystkie zresztą dzieła wielkiego poety świadczą o zupełnem jego wyzwoleniu z więzów ciasnego dogmatu, mimo to jednak wszystkie także są dowodem, że Ibsem jest umysłem, głęboko i silnie wierzącym i żyjącym tą wiarą.

Ibsen wierzy w dobro i prawdę — wierzy w duszę nieśmiertelną i jej prawa, wierzy w nieuniknione następstwo złych i dobrych czynów.

Można mieć jednak nie wiadomo jak szczytne zasady i Bóg wie jak wielką siłę i odwagę przekonań, a mimo to nie stworzyć ani jednego dzieła sztuki.

Ibsen poza wszystkiem, poza tem, że jest człowiekiem, że jest człowiekiem myślącym głęboko, czującym i wierzącym gorąco i szczerze — Ibsen poza tem wszystkiem, a raczej — przedewszystkiem — jest artystą — jest poetą. Poetą wielkim, wzniosłym, porywającym, szczerym. Twórczości swej nie nagina do wypadków, ani też jej nie łata dorobionymi do nich ludźmi i sytuacyami. Chwyta z życia, z duszy ludzkiej tematy i pomysly, dramatyczne problematy i konflikty, które genialny jego umysł dostrzega tam gdzieby ich inny nie dostrzegł i, ukochawszy je, pieści je w duszy, ubierając w artystyczną, skończoną, nigdy nie naciąganą formę. W niektórych wprawdzie dawniejszych jego utworach robota nieraz jest grubsza, a idea, wyłażąc wyraźnie przez szwy jakby fastrygą robione, graniczy o miedzę z tendencyą (jak n. p. w „Podporach społeczeństwa“, w „Brandzie“), późniejsze jednak dzieła są coraz więcej harmonijne i artystycznie wykończone. olśniewając nie tylko głębokością i bogactwem myśli, lecz zarazem mistrzowskiem malowaniem charakterów ludzkich i wprost zdu-

miewającą budową. Takie n. p. postacie, jak Hjalmar Ekdal w „Dzikiej kaczce", Rita Allmers w „Małym Eyolfie", Solness, Hedda Gabler i mąż jej, Jörgen Tesman, pani Alving w „Upiorach" pozostaną po wszystkie wieki arcydziełami psychologii i prawdy. Niektóre z postaci jego, zaledwie naszkicowane kilkoma słowami, występują tak jasno, są tak skończonemi indywidualnościami, że ich zapomnieć niepodobna, że wspomnę tutaj choćby tylko starego Ekdala, Rellinga i Mölviga w „Dzikiej kaczce", Brendla w „Rosmersholmie", Lyngstranda w „Oblubienicy morza", panią Wilton w „Borkmannie".

A jaki przytem nastrój. Ibsen w nastroju jest mistrzem nad mistrzami. Zupełnie prostymi, bezpretensyonalnymi, prawie naiwnymi napozór środkami sprawia, że się wprost czuje atmosferę, w której się dana rzecz dzieje. W „Oblubienicy morza" morza nie widać — niema go wcale. Ale się je czuje — tak, jak czuje się trupi jakiś zapach stęchlizny i zakamieniałości w domu Jana Gabryela Borkmanna.

Każde z dzieł Ibsena to jakby witraż kolorowy we wspaniałej, gotyckiej świątyni: świątynia mimo swej wspaniałości chłodna napozór i surowa — ale przez barwne szyby okien widać niezmierzone horyzonty w czarodziejskiem zabarwieniu.

W każdem z dzieł Ibsena widzimy nie tylko to, co on nam bezpośrednio mówi przez usta swych bohaterów — ale otwierają się dla nas przez nie, jakby jakieś okna na coś nieskończonego i tak wzniosłego, że tego wypowiedzieć niepodobna. Trzeba to czuć. Prąd ten z duszy artysty przebiega do duszy słuchacza lub czytelnika prosto — bezpośrednio.

A przytem, w jaki to wszystko naturalny sposób. Przy kunsztowności formy nadzwyczajna prostota. Żadnych sztuczek, żadnych teatralnych efektów. Dyalog niezrównanie prosty i przejrzysty, naturalny, ani śladu kwiecistości i „literatury". Ibsenowi nie potrzeba krzyków i jęków, aby wyrazić ból — nie trzeba mu ciemności nocnych i huku piorunów, aby wzbudzić grozę — nie trzeba mu namiętnych pocałunków, aby przekonać o szczerej i głębokiej miłości. Wszystko u niego proste i niewymuszone — a silne i wielkie. Bo on efektu nie szuka na zewnątrz, tragizm nosi w sobie — w swej wielkiej, silnej, wspaniałej duszy.

Szerokie, bezkreśne, tragiczne morze, przypadające falującą piersią do nagiego łona ziemi — morze dumne, groźne, wspaniałe — oto twórczość, oto dusza Henryka Ibsena.

Z CYKLU: CHWILE.

I. DWOJE OCZU.

Kiedy Zmierzch w Nocy objęcia się kloni
I Ciszę sieje wokoło rozrzutnie,
Biorę mą śpiewną złotostruną lutnię,
A dusza moja po jej strunach dzwoni...

Z ciemności patrzy na mnie dwoje oczu,
Które się żarzą jak promienne słońce.
Krzykiem Rozpaczy dźwięczą struny drżące...
W pomroce widzę dwoje smutnych oczu...

II. LUTNIA.

Na złotej lutni drżące ręce kładę...
Może z niej jeszcze pieśń zabrzmi płomienna
I w słów się zmieni tęczową kaskadę...
Na złotej lutni drżące ręce kładę,
Lecz lutnia moja milczy srebrnobrzmienna.

I tylko słyszę rozpaczliwe zgrzyty
I płacz — Tak płaczą niewinne dziecięta,
Płacze pęk róży dopiero rozwity...
I tylko słyszę rozpaczliwe zgrzyty,
Ból głuszy tony, a porywy pęta...

Józef Rączkowski.

JAN RAMEAU.

Z WIOSENNYCH PIEŚNI.

I.

Zapytałem jabłonie, co się w kwiat przybrały,
W kwiat biały i różowy, czemu tak bogato
Szare końce gałązek kwieciem obsypały,
Gdy niegdyś stały ciche, kryte zwykłą szatą..
A jabłonie odrzekły sypiąc puchy kwietne,
Od szczęścia i od słońca zróżowione całe:
Ach to zazdrość przybrała nas w te szaty świetne,
Gdyśmy kochanki dłonie twej ujrzały białe.

II.

Zapytałem niebiosa błękitne... marzące,
Które jaskółki skrzydłem ożywiają w locie,
Czemu wczoraj złowrogą chmurą smutku tchnące,
Dziś błękit ich gwiazd złotych ozdabiają krocie
I od niebios przez czyste błękitu etery,
Niby fale płynęły z przeźroczej krynicy
Wyznania słów tajemne, nieuchwytne szmery?
— Ach! my twej ukochanej odbiciem źrenicy...

III.

I pytałem się ziemi: O matko ma święta!
Ziemio — darząca kwieciem i balsamu wonią —
Ty radością twych dzieci miłością przejęta,
Czemu patrząc na ciebie, oczy me łzy ronią?...
A ziemia mi odrzekła: Płacz smutne me dziecie,
Bo cię białość, ócz błękit, blask gwiazd z pod powieki —
To, co ty ukochałeś ponad wszystko w świecie,
Ja — po twoich objęciach uścisnę na wieki!...

Tłom. z franc.: *Jan Oksza.*

ZNAMIONA CZŁOWIEKA NOWOŻYTNEGO TYPU.

1. Wyzwolił się od bogów i nie ma bogów prócz Boga. 2. Nie podlega nikomu, lecz wszystko szanuje. 3. Szanuje czas i pieniądz. 4. Szanuje jednostkę, jako niezbadaną dotąd tajemnicę. 5. Szanuje tłum, jako siłę. 6. Jest nieugiętym i nieprzystępnym dla baśni „niedostatecznego dowodu“. 7. Kocha matematyczną ścisłość i rozkoszuje się siłą dostatecznego dowodu. 8. Ubóstwia cel najbliższy. 9. Jest spokojnym, bo ma poczucie wielowiekowej kultury. 10. Wierzy w „prawo przyczyny“ i w płodność rozumnie obmyślanej działalności. 11. Wydaje sąd tylko o tem, co jest jawne i publiczne. 12. Każdy jego ruch i słowo zdradzają świadomość rozumnego celu. 13. Odwraca głowę tylko pod wpływem wielkiej konieczności. 14. Zawsze stara się być panem — chociażby sytuacyi. 15. Utrata panowania jest dlań prawie jedynym powodem do bolesnych wyrzutów sumienia. 16. Poza tem jest spokojnym, jako człowiek, który się oswoił z głupotą i bezsilnością rodzaju ludzkiego. 17. Na ustach ma uśmiech, na czole powagę — symbole współczucia i niezależności. 18. W stosunku do kobiety jest mężczyzną.

J. B.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Oryginalny list staropolski z końca XVIII. wieku.

Sercem ukochane Panny a Siostry moje! Aby dać folgę afektowi, który się w sercu mem ku wam *carissimae Sorores* obrał sobie siedlisko, puszczam wodze oratorskiej i retorycznej ochocie, aby wspomniany, w sercu mem zamieszkały afekt mógł bez jakowych wstrętów brykać na pastwisku miłości i przywiązania braterskiego. *Ad rem* zatem przystępując, zdawać Wam sprawę z zaszłych w czasie Waszej absencyi zdarzeń *incipiam:*

Pani Matka nasza, dając folgę ochocie, uczynić rozkazała swój konterfekt, który Imci Pan Mien, Francuz, pończosznik, z zamorskich krajów misternie i kunsztownie uczynił. Konterfekt ten ku pociesze i rozradowaniu serc i ócz waszych do niniejszej mojej epistoły dołączam, z którego snadnie poznacie, jak Pani Matka nasza w zdrowiu ciała i umysłu przytomności pozostaje, oraz w cnocie jako w słońcu chadza, za co *Deo optimo* niech będą dzięki *in saecula saeculorum.*

Wczorajszego dnia losy zrządziły, iże spotkał nas ten honor, żeśmy w ubogim domu naszym podejmowali dostojnych gości w osobach Jaśnie Wnych Imci Marszałkówien Magdaleny i Gabryeli. Pani Matka nasza, chcąc uczcić dostojne niewiasty, uczynić rozkazała dla nich wywar z zamorskiego ziela, niesłusznie Cherbatą zwanego, które pono monstra afrykańskie z pewnej rośliny robią i takowe z pożytkiem dla zdrowia używają (niewiadomo jednak na pewno, czy monstra owe duszę jak nasza posiadają, i czy *animalibus* są podobne!).

Jaśnie Wielmożne Marszałkówny wywar ów ocukrzony cierpliwie wypiły, który jednak zawierać musiał leki, albo zgoła czary jakie, po użyciu bowiem onego nader szybkim krokiem dom nasz opuściły, co uczyniły, supponuję, nie aby nam kontempt okazać, ale z powodu burzliwości w żywocie.

Dziś znowu zjechał w dom nasz... stryjce ze stryjną, Imci urodzony Fedorowicz z Warszawy, o czem wam donoszę, aby wam *felicitatem nostram* udzielić. — W końcu obliguję Was *stricte,* abyście w domu Imci Pani Morzyckiej, w którym pozostajecie, przystojnie i godnie się zachowały oraz cnotliwie, aby Wam *imperitatem* nie zadano, oraz abyście godnej tej matronie jak niemniej jej małżonkowi służby moje *humillimae* poleciły.

Bogu was polecam wasz brat Damazy.

Dan w Krakowie dnia maja 1-go, roku pańskiego 1793.

WSPOMNIENIA Z GUWERNERKI.

(FRAGMENT Z DZIENNICZKA.)

(Dokończenie.) (α.)

Surowość i pedantyczność — oto dwie maksymy, które na czele dalszej metody mej działalności po pierwszej już lekcyi postawiłem.

Po godzinnem śniadaniu zabrałem się do oficyny Nr. 2 do czerwonego pokoju z obrazami.

Lekcya z młodszym odbyła się od trzeciej do piątej po obiedzie. Stefi, siedmioleciak, siadł apatycznie do swej ławeczki, podniósł wierzch i ostentacyjnie włożył obie nogi do otworu.

Po dwukrotnem napomnieniu wyciągnął je — zauważyłem przytem, że wcale mu to nie przypadło do gustu, ale ja mało co sobie z tego robiłem.

Po nudnem sylabizowaniu z polskiego i niemieckiego elementarza i po nagryzmoleniu kilkunastu liter w kajecie, rozpocząłem wykład biblijny. A więc o stworzeniu świata, o Adamie i Ewie, o grzechu ich, w zapale oratorskim doszedłem aż do wypędzenia ich z raju.

Chłopak słuchał jednem uchem, kręcąc się ustawicznie, jak fryga.

Chcąc, by coś z wyłożonej lekcyi skorzystał, kazałem mu treść powtórzyć. Podaję ją tu w streszczeniu z zachowaniem oryginalnych wyrażeń — godna uwagi — a więc:

„Na początek bila taka masa — masa i nic nie bilo. Bil aniol w górrrhrze nad wodem. Pan Bóg stworzil na pirsze dzień świat, ptaki, riby, trawy, niebo... niebo — potem czlowiek. Pan Bóg wziol ziemi, chuchnol i bil Adam. Adam bil w raju, a w tym raju bili jabka. Jak on spal, wziol Pan Bóg żebre z Adama i bila Ewa. (W tem miejscu zapytał mnie, czy to Adama bardzo bolało.) A Ewa zjad jabko, bo Pan Bóg zakazal i uciekli z raj ze szablem...“

Począł mnie następnie natarczywie nagabywać, poco będą trąbić na sądzie ostatecznym i na czem, dlaczego dyabli mają rogi, w jakim celu zakazał Bóg Adamowi i Ewie jeść z drzewa zakazanego... prędko zamknąłem książkę i zabrałem się do historyi polskiej.

Wychodząc z tego stanowiska, że chłopcy, którzy kiedyś prawdopodobnie wysokie zajmą w społeczeństwie świeczniki, winn być narodowo wychowani i patryotycznym przejęci duchem, postanowiłem na ten dział nauki główny położyć nacisk. W kilku minutach dowiedziałem się, że Sobieski zdrów żyje sobie dotychczas, że i inni królowie najlepszym cieszą się zdrowiem — nie wiedziałem, czy śmiać się, czy łzę z oka zetrzeć.

Mój Boże! Toż chłop dzisiaj prosty zna w ogólnych przynajmniej zarysach dzieje swego narodu, kocha tę ziemię rodzinną i przywiązany do niej duszą i ciałem, a tu dziecko księcia polskiego takie posiada wiadomości!

Zacząłem *ab ovo.*

Oby tylko praca ma plon wydała — a ciężką będzie ona wśród tego internacyonalnego zamętu!

Umęczony połknąłem obiad i zabrałem się do siebie. Ile myśli przemknęło przez mózgownicę!

Z TEATRU.

Po niefortunnem, z powodu złej obsady ról, wznowieniu „Dzwonu zatopionego“ (jeden Sosnowski grą swą, jak zawsze świetną, wzruszał do głębi), mieliśmy krótki tym razem szereg występów Modrzejewskiej. Oprócz dawniej już grywanych przez znakomitą artystkę ról — Lady Makbeth i Maryi Stuart, ujrzeliśmy ją w „Giocondzie“ d'Annunzia, „Antygonie“ i „Protesilasie i Laodamii“ *) „Gioconda“ słusznie wznowioną została wobec występów Modrzejewskiej. Dała ona wielkiej artystce pole do stworzenia nowej kreacyi, jednej z najlepszych w obfitym jej repertuarze.

Czteroaktowy dramat ten dość prosty w swej treści (konflikt w życiu artysty-rzeźbiarza między miłością czułą i tkliwą żony a namiętnem przywiązaniem kochanki), napisany został przez włoskiego poetę specyalnie dla popisu „wielkiej“ Eleonory Duse. Nie brak tu ani świetnego stylu, ani nawet subtelnego cieniowania charakterów właściwych cech d'Annunzia, jest jednak zbyt widoczna chęć wysuwania na plan pierwszy ról, nie zaś postaci; cecha ta obniżając poziom literacki „Giocondy“, podnosi zarazem jej sceniczność, oczywiście jedynie przy dobrej obsadzie owych pierwszoplanowych ról.

Nie wiemy, jak grała Duse, to pewna jednak, że Modrzejewska umiała ze swej roli wydobyć cały szereg tonów, od cichej tkliwości i słodyczy aż do siły potężnej w scenie z Giocondą, w akcie trzecim. Rolę Giocondy (kochanki artysty) z mocą i zrozumieniem oddala Wysocka. Świetnie, z głębokim zrozumieniem duszy napół obłąkanej dzieweczki rybackiej, epizodyczną rolę Serinetty w akcie czwartym odegrała Mrozowska. Z ról męskich jedyny Mielewski mógł coś wydobyć ze swej trudnej kreacyi.

Jan Iwański.

---

*) Ocenę „Antygony“ i „Protesilasa“ dla braku miejsca odkładamy do następnego numeru.

LITERATURA.

Jadwiga Rostworoska. «*Czy są nowe dla kobiet zadania?*» Nakład Spółki Wydawniczej polskiej. Kraków 1902.

Kwestya kobieca bywa w ostatnich czasach tematem dyskusyi, treścią artykułów pism czytanych przez świat stary i nowy — a pomimo tak silnego zainteresowania nie ustaliła się dotąd, nie mogąc znaleźć dość podatnego gruntu dla swych fundamentów. Silny prąd ewolucyi napotyka na równą siłę oporu i ścierają się z sobą — walczą dwa duchy przeciwne sobie broniąc swych praw i zasad. Duch nowy wyprowadza kobietę z zacisza życia domowego na arenę życia społecznego i politycznego — nadaje jej prawa równe mężczyźnie, namaszcza ją do pracy publicznej wprowadzając do parlamentu, osadzając na katedrach uniwersytetów... Zaś duch dawny osłania, broni kobietę przed nowym prądem postępu, by ją z właściwego pola działalności nie uniósł — a tem samem nie odjął kobiecie berła godności najwyższej, jaką jej wieki nadały — nie pozbawiał zasług przyznawanych za ciche cnoty domowe w poświęceniu się dla rodziny, a w niej dla społeczeństwa.

Dziełko p. J. R. zwięźle a treściwie omawia kwestyę kobiecą w sposób przekonywujący, ukazuje kobiecie pole działalności o granicach zakreślonych szeroko. Radami dobremi, jasnemi odwodzi od pokus fałszywej ambicyi w zdobywaniu jakąbądź ofiarą stanowisk zajmowanych przez mężczyzn.

Postęp czasu otwiera wiele dróg pracy współzawodnictwa — a tyle pola leży odłogiem, gdzie potrzeba pracy ducha przejętego miłością bliźniego, gdzie kobiety nikt nie zastąpi. A gdy na stanowisku swem kobiety braknie, społeczeństwo czuje brak ten i cierpi. Natomiast, gdy w parlamencie lub na katedrze uniwersytetu kobieta nie ukaże się w pełni swych praw... fakt ten nie pociągnie chyba za sobą żadnych ujemnych danych! *Jan Oksza.*

«*Przystań*», powieść Julii Terpiłowskiej. Warszawa 1903. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Rodziewiczówna ma w autorce godną naśladowniczkę. Wszystkie postaci występujące w powieści dzielą się na dwie zasadnicze grupy: jedna to „czarne charaktery“ (Wielogłowski, Mewa, pani Mimi), druga to idealy (Zygmunt, państwo Tomaszowie, Maltra, Jur, Klara, a przedewszystkiem „genialny“ ksiądz kanonik). W tem wszystkiem niema wcale umiejętności jakiego takiego szkicowania charakterów lub choćby prawdopodobieństwa postaci i zdarzeń.

Powieść urozmaica szereg błędów językowych i stylistycznych. *I.*

Jan Zacharyasiewicz. «*Po ślubie*». «*Z zapisków kobiety*». Spółka Wydawnicza. Kraków 1903.

Jako motta użył autor ustępu z samej powieści, gdzie opiekun bohaterki podnosząc groźnie rękę do góry, wymyśla literaturze powieściowej, że się pokusiła o odtworzenie stadeł małżeńskich. Poczciwy stary Zacharyasiewicz daje nam próbkę takiej właśnie powieści obyczajowej, i wzorując się na starego autoramentu powiastkach moralizatorskich, doprowadza do szczęśliwego rozwiązania wszystkich konfliktów niedobranej pierwotnie pary małżonków. Charaktery grzeszą w rysunku zbytnią jednostronnością — zresztą powiastka na 216 stronach napisana jest z właściwą czcigodnemu autorowi werwą i pomysłowością w zastosowaniu efektów.

Zofia Kowerska. «Podlotek», «Wielki dyplomata», «Dla wprawy», «Chluba kraju», «Nowele». Spółka Wydawnicza. Kraków 1903.

Jest to zbiór nowel drukowanych uprzednio w wydawnictwach peryodycznych tejże Spółki. Nader zajmująco i barwnie napisana tytułowa nowelka kreśli z widoczną sympatyą autorki historyę miłości wytrawnego salonowca i pustaka (NB. już nawróconego na drogę dobra) i podlotka. „Chluba kraju" daje prawdziwy z życia zaczerpnięty obrazek matki poświęcającej wszystko, ciułającej grosz do grosza na naukę Jasia, który rósł zdrowo i wciąż mu państwo pachniało i który po ukończeniu uniwersytetu za krwawy grosz matczyny czepiał się to tego, to owego, a że „w Galicyi podobno trudno znaleźć miejsce", wyniósł się do Warszawy i tam dochrapał się ożenku bogatego i jakowegoś stanowiska, tak że „książki i gazety pisze". Przy wypadkowem spotkaniu z dawno niewidzianą matką na swoim odczycie, zawstydzony, że jego ukrywane ubogie pochodzenie może być wykryte, przechodzi mimo, nie poznając jej. Rozczulającą jest miłość matczyna, która po takiem wystąpieniu syna usiłuje tłómaczyć przed swojem otoczeniem, że syn z powodu braku czasu i spraw ważnych nie może ją odwiedzić w pomieszkaniu. *f.*

KRONIKA.

„Przyszłość" abonować można, oraz nabywać pojedyncze numera w Biurze dzienników p. Salomonowej (Plac Maryacki), w księgarni S. A. Krzyżanowskiego oraz u p. janitora w gmachu Collegium novum.

Z Uniwersytetu krak. W ostatnich dwóch tygodniach otrzymali stopień doktorski: Alfred Hubischta (prawo), Kazimierz Jordan Rozwadowski (prawo), Józef Karmowski (prawo), Cezar Komorowski (medycyna), Tadeusz Pisarski (medycyna).

18. sierpnia b. r. przypada 200-letni jubileusz wybudowania i poświęcenia kościoła św. Anny. O ile się dowiadujemy, obchód święcić będzie senat akad. z wielką uroczystością.

Dar. Pani Z. Sopkiewiczowa z Żytomierza ofiarowała muzeum botanicznemu przy tut. uniwersytecie cenne zielniki po ś. p. ojcu swoim dr. E. Gallem.

Sprostowanie. W artykule „O pląsawicy uwag kilka" zakradła się przez przeoczenie w korrekcie pomyłka, a mianowicie wyrazy: „epilepsyę" i t. d. powinny były być w pierwszym przypadku liczby pojedynczej.

Konkurs na nowelę, rozpisany przez redakcyę, z powodu małej ilości nadesłanych prac, przedłużamy do 1. czerwca b. r. Wynik konkursu na winietę ogłosimy w dziennikach przed 15. b. m.

Od redakcyi. Najbliższy numer „Przyszłości" w zmienionem wydawnictwie i ilustrowany ukaże się w drugiej połowie b. m. Upraszamy wszystkich naszych czytelników o rychłe nadesłanie prenumeraty i o usilne poparcie pisma w kołach znajomych.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Kol. S. L. z Kołomyi. Rym, rytm, myśl?! — **Józef Kymac Lwów.** Myśl piękna, lecz wykonanie... napiszcie coś prozą. — **Kol. Krystyna G. K. z Krakowa.** Rafaela, wychyla — tańca, skazańca — to mają być rymy? Sama treść pełna siły i oryginalności — szkoda! — **Fancy.** Z pewnemi poprawkami możliwe, tylko później, gdyż materyału mamy na razie dosyć. — **Kol. H. Raniwa z Przemyśla.** Gdzie obiecanka? — **Kol. Artur Ćw...** Może pójść wiersz — „Idzie mrok" z wyjątkiem czwartej zwrotki — zgoda?... — **Jan Oksza.** List równocześnie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Adam Wilusz.**
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem L. K. Górskiego.